Rok II. Nr. 2.

MIESIĘCZNIK
MŁODZIEŻY POLSKIEJ.

(DAWNIEJ „MŁODZIEŻ“).

TREŚĆ NUMERU:

Kraków, luty 1912 r.

Rok II. Kraków — Luty 1912 r. Nr. 2.

MIESIĘCZNIK MŁODZIEŻY POLSKIEJ.

Komitety redakcyjne: Kraków, Lwów.

Vigilantium somnia.

My jesteśmy, jak przeklęci,
Że nas mara, dziwo nęci;
Wytwór tęsknej wyobraźni
Serce bierze, zmysły draźni,
Że nam oczy zaszły mgłami —
A to, co tu nas otacza,
Zdolność nasza przeinacza...
Wesele, akt I, scena 24.

Leży przedemną Jana Brzozy „Zagadnienie polityki niepodległościowej"[1]). Smutna książka! Francuz, przeczytawszy kilkanaście kartek, rzuciłby ją z irytacyą; Niemiec doczytałby do końca, zważył wszystko pro i contra i określił ją jako „ein miserabiles Buch", poczem przestałby się nią zajmować; Polak musi, ma obowiązek o niej pisać.

Bądź co bądź, rzadkością u nas jest książka, wskazująca, dokąd nam iść należy, formułująca nowy program działania politycznego, dająca nową metodę politycznego myślenia. Już to samo kazałoby nam zwrócić na nią baczną uwagę. Cóż dopiero, gdy była poprzedzona głuchą wieścią między ludem, gdy ukazanie się jej poprzedzały różne znaki na niebie i ziemi, gdy wreszcie powitana została jako początek nowej ery przez pewne grupy naszej młodzieży.

Habeant sua fata libelli; ale tej książki fata są najdziwniejsze, jakie znam. Naprzód tedy w „Zjednoczeniu" krakowskiem rozpoczął się ferment, którego powodów długo nie można było odgadnąć; potem nastąpiła secesya pewnej grupy, przyczem powodem secesyi — jeżeli wogóle istniał powód, nie pozór powodu — nie była rozbieżność programów, skoro secesyoniści zaczęli dopiero ex post szukać programu. Gdy

[1]) Kraków. Nakładem autora. 1911.

wyczerpanych mozolnym i bezowocnem poszukiwaniem pytano, jakaż jest więc różnica między Zniczem a Zjednoczeniem, odpowiadali, że wszystko wyjaśni i uzasadni książka Brzozy. Książka Brzozy ukazała się; ukazaniem swem wyjaśniła wiele, uzasadniła natomiast mało. Po miodowych dniach radosnego upojenia wątpliwości zaczęły dręczyć nawet tych, którzy przyjścia książki oczekiwali z najgorętszą wiarą. Wreszcie jawnie zaparto się książki, jako programu, jako hasła, jako sztandaru. Powiedziano głośno, że nikt jej nie uważa za ewangelię. Ale po cichu szerzą jej idee — niezupełnie je rozumiejąc — zahipnotyzowani zelanci „metody państwowego ujmowania sprawy polskiej"; ale książka jest, działa i urabia umysły, znieczuliwszy je przedtem na głos rozsądku przy pomocy ciężkiego pseudo-naukowego aparatu. Zawsze w myśl wskazań autora, który przestrzegał z góry, że jego idee „trafiają na glebę zachwaszczoną całym szeregiem przesądów", gdzie „trzeba lat pracy wytężonej" (str. II) i upominał, aby „ukochanie wolności było blaskiem oświetlającym drogi" tej zbożnej pracy (V). Została więc książka — i być może, że utraciwszy nimby tajemniczości, chadza w aureoli męczeństwa za prawdę. A że jest błędna, bałamutna i szkodliwa, trzeba rozbijać te nimby i aureole, rozpraszać dymy kadzideł, rozdzierać nieskromnie osłony legend. Trzeba o niej pisać nie dlatego, aby się nad nią znęcać, lecz aby przedstawić ją we właściwem świetle i przez to uczynić nieszkodliwą. Trzeba ją sprowadzić do właściwych rozmiarów: nieudanej próby stworzenia i uzasadnienia pewnego programu politycznego, której sztucznie tylko — a z pewnością nie bez usilnych zabiegów autora — starano się nadać zgoła nieodpowiednie do wartości znaczenie.

* * *

„Główna idea książki wyraża się twierdzeniem, iż Państwo Polskie jest i żyje, bo żyje w świadomości obywateli" (IV). Zobaczymy zaraz, że nie jest to tylko façon de parler.

Gdyby mnie kto zapytał, jak sobie wyobrażam drogi, któremi szła myśl autora, odpowiedziałbym: autora bolały niepowodzenia dotychczasowej polityki polskiej; zauważył on, że ta polityka ma dwie drogi do wyboru: albo pracę na gruncie istniejących warunków prawnych, albo walkę zbrojną. Powiedział sobie: ni réaction, ni révolution — ani pracy organicznej (tj. ugody), ani powstania. „Nadmiar negacyi może być podobnie szkodliwy, jak nadmiar affirmacyi prawnych stosunków niewoli" (8).

A że był dobrego mniemania o sobie, dodał: wyprowadzimy nareszcie politykę polską z epoki kamienia ciosanego. Zaczął od definicyi polityki; okazało się przytem, że do tak zdefiniowanej polityki koniecznie trzeba państwa; dał więc definicyę państwa, stworzywszy zaś definicyę, z łatwością zorganizował państwo polskie, nie zmieniając ani na jotę stosunków międzynarodowych, i kazał temu państwu prowadzić prawdziwą politykę, politykę państwową polską; w ten sposób uniknął zarówno „affirmacyi prawnych stosunków niewoli", jak „nadmiaru negacyi", prowadzącego prosto do powstania.

Już z tego przedstawienia sposobu, w jaki p. Brzoza zabiera się do traktowania zagadnienia polityki niepodległości, widocznem jest, że jego „metoda“ do traktowania zagadnień politycznych absolutnie się nie nadaje. Pomińmy te pouczenia o zakresie pojęć, o pojęciu nadrzędnem i różnicy właściwej i zatrzymajmy się na chwilę nad ustępem, stanowiącym typowy przykład rozumowania autora.

„Proponując... reformę wyborczą do Sejmu w Galicyi“ (20) — czy sądzicie, że autor weźmie pod uwagę wskazanie, dyktowane nam przez nasz interes narodowy, że uwzględni nasz stosunek do Rusinów, do Żydów, rolę społeczną miast i wsi, postępujący proces demokratyzacyi społecznej, że obliczy troskliwie ilość polskich głosów, potrzebnych w Sejmie np. do zmiany statutu krajowego, że na zasadzie mozolnych poszukiwań statystycznych znajdzie podstawę do rozdziału mandatów itd.? Nigdy w życiu. „Proponując... reformę wyborczą do Sejmu w Galicyi, musi się uwydatnić rodzaj czynności, mającej wpływać regularnie na tok życia społecznego w kraju. Czynność tę odnosimy w myśli do ogółu obywateli tego kraju. Odnoszenie to równa się oparciu reformy wyborczej o całość zakresu pojęcia obywatela. Zakres ten naturalnie zależy zawsze od treści, przy pomocy której wyodrębniamy ideę obywatela Galicyi z pośród innych. Stosownie do tego raz może być większy, drugi raz mniejszy. Zawsze jednak pozostaje dla mnie bezpośrednio niewymierny i w chwili rzucania projektu muszę go stosować sztucznie, statystycznie. Muszę tedy uwzględnić wielką liczbę anonimowych obywateli, o których tylko wiem, że inni ich zrodzili i uznali za obywateli Galicyi. Ponad sferę własnego doświadczenia społecznego przerzucam system akcyi wyborczej na ogół okręgów, choćbym ich obywateli nie miał nigdy spotkać i zobaczyć“ itd. aż do skutku (20 i n.). Cóż to jest? Pracowite przerabianie jakiegoś szkolnego zadania z dziedziny teoryi poznania na przykładzie... projektu reformy wyborczej sejmowej? Nie. To wszystko na to, by dowieść, że proponując reformę wyborczą, nie możemy porozumiewać się ze wszystkimi „anonimami“, których znamy tylko statystycznie „jako punkty zakresu mego pojęcia obywatela“ (21), że więc musimy względem nich użyć przymusu społecznego (absolutyzm, p. Brzoza!); ponieważ zaś zorganizowcny przymus społeczny jest cechą charakterystyczną prawa, przeto... „polityka jako proces społeczny rozwija się drogą tworzenia prawa“ (23). Non sequitur? Nic nie szkodzi. Dążymy do definicyi.

Brzoza odrzuca różne definicye polityki. Może to czynić. Te definicye — a jest ich dużo więcej, niż p. Brzoza przytoczył — powstały wszystkie w jednakowy sposób: naprzód człowiek przygląda się polityce, często bierze w niej udział, zwraca uwagę na jej czynniki, przeocza lub lekceważy inne, przywiązuje się do pewnych dążeń, do nieodłącznego od pozycyi punktu widzenia — i w definicyi, zgodnie z własnem i najbliższych sąsiadów doświadczeniem, podkreśla pewne momenty, osłabia inne. Gdy p. Jaworski podkreśla dążenie do władzy, to poznajemy w nim odrazu członka stronnictwa przez długi czas rządzącego, które pragnie znów dostać się do steru rządów. Gdy Niemiec podnosi rolę państwa, zgadujemy w tem rezultat upojenia potęgą cesarstwa po r. 1870. Gdy Dmowski mówi o „organizowaniu życia zbiorowego“ widzi

się w definicyi Polaka, dla którego pozostała jedynie droga samoistnej organizacyi społeczeństwa. W tym stanie rzeczy nie odrzucałbym może definicyi właśnie tak obszernej, jak Dmowskiego. Ale p. Brzoza jest przedewszystkiem formalistą-logikiem. Pojęcie nadrzędne? Jest: współzawodnictwo i współdziałanie (mogłoby być równie dobrze np. działanie i powstrzymywanie się od działania); differentia specifica? Jest! Tworzenie i stosowanie prawa. W rezultacie: „polityką zwać należy ogół zjawisk współzawodnictwa i współdziałania obywateli, o ile stosując jednakie pojęcia wiążącej ich formy uspołecznienia, działają w zakresie tych pojęć celem tworzenia i stosowania prawa“ (24). Definicyę tę „cechuje metodyczna poprawność“ (24).

To, co uderza w przyciężkiej definicyi p. Brzozy, jest to podkreślenie momentu prawa, t. j. przymusu. Że zaś dziś społeczną organizacyą przymusu jest państwo, że autor proponuje system polskiej polityki państwowej, prowadzonej przez organizacyę państwową polską, że wreszcie twierdzi, iż polityka rozwija się drogą tworzenia prawa, — zarzucam mu błędne związanie polityki z państwem. Błąd taki można wybaczyć Francuzowi, który nie rozumie narodu bez państwa, Niemcowi, któremu potęga swojego wzniesionego państwa zawróciła w głowie, ale nie Polakowi, który — niestety! — ma wszystkie dane po temu, aby stwierdzić możność istnienia polityki narodowej bez państwa, najczęściej nawet wbrew państwu.

Cała nasza literatura prawna, ekonomiczna, polityczna doby porozbiorowej uwydatnia znaczenie samorzutnej organizacyi społecznej. Przykładów takiej akcyi politycznej naszego narodu, opartej na dobrej woli obywateli, nie mającej nic wspólnego z przymusem państwowym, moglibyśmy przytoczyć bardzo dużo. A może p. Brzoza chce tylko, aby nasze aspiracye państwowe w przyszłości wylały się w doskonałą formę prawną, własną, może chce podkreślić, że na dziś musimy się liczyć z ustrojem prawnym państw zaborczych, musimy opierać swą działalność na istniejącym porządku prawnym? Dotknąłbym p. Brzozę podobnem przypuszczeniem. Liczenie się z warunkami prawnemi, narzuconemi nam przez państwa zaborcze, jest dlań (jak to zobaczymy niżej) ugodą. Oto konsekwencya: związanie polityki z przymusem rodzi konieczność stworzenia własnej organizacyi państwowej — i p. Brzoza tworzy ją z lekkiem sercem.

Niech mi nikt nie zarzuca, że lekceważę znaczenie własnego państwa; uznaję całą olbrzymią doniosłość posiadania własnej organizacyi państwowej; wiem, że naród bez niej przez dłuższy czas żyć nie może bez największego dla swego bytu niebezpieczeństwa; twierdzę tylko, że polityka narodu niepaństwowego nie będzie polityką państwową, że będzie nieraz zwycięsko walczyć z polityką państwową zaborczego mocarstwa, że taka polityka — powiedzmy: narodowa — jest możliwa i że dla jej prowadzenia zbyteczna, a nawet szkodliwa jest fikcya państwowości polskiej aktualnej.

* * *

Walką z wiatrakami chciałoby się nazwać atak p. Brzozy na to, co nazywa realizmem socyologicznym (inna rzecz realizm polityczny, o którym niżej). Że państwo, naród i t. d. nie są przedmiotami, uchwytnemi w jednorazowem spostrzeżeniu zmy-

słowem (16, 31 i passiw) „jak kamień, drzewo i t. “, na to nie trzeba było długich dowodzeń. Że państwo, jako jedno z niezliczonych kół społecznych, jest stosunkiem — uczy nietylko Lochning, lecz każdy podręcznik prawa (prawda, że i p. Brzoza założył sobie nie wdawać się w „subtelności prawnicze“). Czy więc to mają być „nowe horyzonty“ (30, 34 i in.), „nowe stanowisko w dziedzinie nauki o utworach socyalnych“ (29), „zaród samodzielnej teoryi socyologicznej“ (32)? Nowe stanowisko, ochrzczone osławionem już mianem konceptualizmu, jest nieco inne, nie jest „półśrodkiem i kompromisem naukowym“. Utwory społeczne są to wytworzone rewolucyi społecznej pojęcia (32). „Każdorazowe pojęciowe pomyślenie ludności pewnego terytoryum ze względu na ogół wiążących się wzajemnych relacyj, których treścią jest władza wykonywana w dziedzinie tworzenia i stosowania prawa, nosi nazwę „państwa“ (43). Prawda, jakie to proste? I cóż naturalniejszego, że wobec tego „Państwo Polskie jest i żyje, bo żyje w świadomości obywateli“ (IV)?

Zarzucam p. Brzozie, że w jego wywodach znikła gdzieś cała rzeczywistość stosunków społecznych. Wprawdzie „o wzajemnem oddziaływaniu“ wspomina on jakby przez stary nałóg „realistyczny“; wprawdzie „państwo dlań istnieje wszędzie tam, gdzie obywatele organizują stosunki wzajemnego oddziaływania w świetle tego pojęcia“ (44), ale okaże się później, że do tego celu wystarczy stworzenie organizacyi takiej „w świetle tego pojęcia“. Jest w tem cel: autor musi przesadzić „pojęciowy charakter“ państwa i zlekceważyć mnóstwo stosunków realnych, aby budować państwowość polską.

Zarzucam też p. Brzozie, że jego powoływanie się na Taide'a, Petrażyckiego itd. (zdawałoby się — doskonałe towarzystwo!) jest oparte na nieporozumieniu (ach, te subtelności prawnicze!).

Słowa „obywatel“ używamy na określenie udziału jednostki w życiu pewnego ugrupowania społecznego; ale jak przyjdzie np. do wyborów, występują nie abstrakcye-obywatele, tylko ludzie z krwi i ciała, z ich wadami, namiętnościami, dążeniami. Państwo jest tylko stosunkiem, ale na straży tego stosunku stoją znów rzeczywiści ludzie. Stosunek dłużnika do wierzyciela „nie da się ująć w jednorazowem postrzeżeniu zmysłowem“; ale do opornego dłużnika w obronie tego stosunku przyjdzie egzekutor; gdy go dłużnik wyrzuci za drzwi, przyjdzie policya; gdy dłużnik wystąpi z oporem zbrojnym, przyjdzie wojsko: pereat mundus! Oto, co ja myślę, gdy mówię: stosunek prawny. P. Brzozie pojęcie przysłoniło rzeczywistość. I w tem jest różnica między stanowiskiem polityka czy prawnika a stanowiskiem — „Teoryi poznania wobec socyologii“. Pisał kiedyś Voltaire o Berkeley'u, że dla niego „10.000 ludzi, zabitych dziesięciu tysięcami strzałów, realnie są tylko dziesięciu tysiącami idei naszego umysłu“. Może tak być istotnie, ale o tem nie będzie myślał wódz, który tych żołnierzy stracił, nie będą się tak pocieszać rodziny poległych. Kiedy p. Brzoza twierdzi, że w stosunku do organizacyi społecznych esse significat cogitari (nie używając zresztą tej formuły), c e l o w o prześlizguje się przed realnością stosunków ludzkich,

aby później rzeczywistość nie wołała nań na każdym kroku: stój! i aby, uznawając korektywę tej rzeczywistości, mógł robić z „państwem“, co mu się podoba.

Nie będę zatrzymywać się nad kwestyą narodowości, dużo tam rzeczy słusznych, niestety... co dobre, to nie nowe, choć zawile sformułowane. „Konceptualistyczne“ stanowisko autora przynosi owoce w chwili, gdy próbuje stanąć na gruncie politycznym. Może jednak przedtem chcecie się dowiedzieć, co to jest niepodległość? „Niepodległość... jest pojęciem stanu społecznego, w którym obywatele ogół ciążących ich relacyi, których treścią jest władza wykonywana w dziedzinie tworzenia i stosowania prawa, organizują przy pomocy świadomie stosowanego pojęcia własnego narodu“ (58). Definicya ta (o wiaro w zapładniającą czyny moc definicyi!) prowadzi do negacyi zaborów. „Jest to żelazna w swej konsekwencya logika. Logika twarda, jak stal, której trzeba dla czynów idących po myśli tej roli“ (50). W myśl tej logiki wszyscy, którzy, dążąc do niepodległości, liczą się z warunkami, stworzonemi dla nas przez państwa zaborcze, są realistami politycznymi w najgorszym tego słowa znaczeniu. Niepodległość jest dla nich ideałem, którego nie chcą osiągnąć, by nie zostać bez idełu. Polityczne pojęcie narodu jest im obce, przez naród rozumieją tylko indywidualność etnograficzną. Co więcej, liczenie się z warunkami realnemi, zdobywanie praw narodowych w państwach zaborczych, korzystanie z ich instytucyi jest afirmacyą zaboru, uznaniem, uświęceniem... Jest wprawdzie jedno wyjście: nie wiązać polityki z przymusem państwowym. Ale wtedy „nie szanuje się wiedzy ludzkiej“. „Zgodzić się na takie błędne stanowisko może tylko ignorancya, lub zła wola“ (64). Mocno powiedziane...

Polityce narodowej, która jest realną, z konieczności ugodową, przeciwstawia się politykę państwową, aktualną politykę niepodległości. Gdy tamta ogranicza się do wzmacniania etnograficznej indywidualności narodu, ta, nie biorąc się tak zaraz do powstania, urzeczywistnia bezpośrednio własne życie państwowe.

Ejże!

Tak, tak. „Stoimy u bram nowego okresu“ (82). Polityka narodowa już się przeżyła. Uświadomienie narodowe jest faktem dokonanym. „Wszystko, co dać może treść pojęcia narodu, wyczerpano...“ (83). „Pojęcie narodu spełniło swą misyę... winno rozpocząć swą pracę pojęcie państwa“ (85). Tylko realista, który patrzy na państwo, jako na rzecz zmysłową, może twierdzić, że gdy nie mamy państwa, nie możemy prowadzić *własnej polityki państwowej*. Dla konceptualisty trudności nie istnieją. „Państwo, jako rzeczywistość nie jest niczem więcej, jak pojęciem... *Brak państwa jest brakiem takiego pojęcia w dziedzinie organizowania współżycia i nie jest brakiem rzeczy uchwytnej jednorazowem spostrzeżeniem zmysłowem*. (str. 86—87. Podkreślenie autora!). O cóż łatwiej, jak o pojęcie. Wobec tego stworzenie państwowości polskiej w niewoli jest zupełnie możliwe. Właśnie państwowości, nie państwa. Pierwsza jest organizacyą polityczną z punktu widzenia prawa politycznego, drugie tą samą organizacyą z punktu widzenia prawa międzynarodowego. Państwowość zamienia się w państwo przez dodanie drobiazgu: uznania międzynarodowego. Ale państwo(wość) bez uznania istnieć może i „różni się

tylko stopniem techniki od rzeczywistego życia niepodległego“ (99). To znaczy, że mamy możność zaraz, bezpośrednio prowadzić politykę państwową polską. Ta państwowość polska będzie, rzecz naturalna, tajną (103), lecz „niech nas to nie odstrasza i nie myli“, „niech nie zdaje się nikomu zbyt pochopnie, że tajny charakter polskiej państwowości odbiera jej cechy państwowej instytucyi“ (103). „Jawność lub tajność nie są decydującemi kryteryami w nauce o państwie“ (104): wszak związki tajne posiadają charakter prawny. Jeżeli się kto nie zgodzi z tem rozumowaniem, z jego „żelazną logiką“ (99), ten ma do wyboru: albo uznać swą ignorancyę i nieudolność myślową (99), albo przyznać, iż jest anima servilis, zmarnowaną dla polskiej polityki państwowej (105), albo wyznać swą złą wolę (100).

Miła perspektywa.

Na szczęście, z przeciwnikami p. Brzozy nie jest tak źle.

Niektórzy ludzie są bardzo odważni dlatego tylko, że nie widzą grożących im niebezpieczeństw. P. Brzoza dlatego tak śmiało gromi „przesądy“, że nie rozumie zupełnie istoty państwa. Zacznijmy od dawno ważnego rozróżnienia punktów widzenia prawno-politycznego, międzynarodowego, które u autora tak kapitalną odgrywa rolę (ob. 182—183), a które autor wyobraża sobie najzupełniej fałszywie (ach, jak to źle zapoznawać się z subtelnościami prawniczemi dopiero w ostatniej chwili!). Cóż mówi w tej sprawie nauka? Oto, że sankcya międzynarodowa nie jest konieczna do istnienia państwa; chwila uznania go przez inne mocarstwa nie jest jednoznaczną z chwilą jego powstania. Państwo, forma rządu może już od pewnego czasu istnieć faktycznie, zanim zostanie uznane przez mocarstwa. Uznanie to jest początkiem normalnych stosunków międzynarodowych, nic więcej. Ale aby uznanie nastąpiło, musi istnieć w całem tego słowa znaczeniu państwo, musi ludność pewnego terytoryum ulegać jednej wyłącznej władzy państwowej. Tak uznanie Belgii nastąpiło w długi czas po zorganizowaniu się państwa bejgijskiego, uznanie republiki w Portugalii nastąpiło różnemi czasy przez różne dwory już po faktycznem jej ustaleniu.

Widzimy, że to jest zupełnie co innego, niż p. Brzozie się zdaje. P. Brzoza słyszał, że dzwonią, ale nie wie, w którym kościele. Jego rozróżnienie między państwowością i państwem, wszystko, co pisze o sankcyi międzynarodowej, jest jednym, wielkim nonsensem.

Dalej: Dla autora państwowość (tajna) różni się od państwa (jawnego) tylko brakiem sankcyi; wobec tego jawność nie jest tak znów koniecznie potrzebna, przez pewien czas — będziemy mogli się bez niej obejść. Znowu zupełnie niezrozumienie sprawy, nie do darowania u człowieka, który pragnie rozważać zagadnienia polityki niepodległości, ach, jak te subtelności prawnicze się mszczą;

Tu nie o to idzie, żeby nikt o państwie nie wiedział: może gdzieś, choćby na odkrytej ongi przez Beniowskiego wyspie, istnieje jakieś państwo zakonspirowane przed geografami; idzie o to — czego autor nie rozumie — że państwo ma monopol przymusu. Na danem tyrytoryum, nad danem społeczeństwem musi stać władza najwyższa, a taka najwyższa władza może być tylko jedna, „najwyż-

szy podmiot prawny“ (107) może być tylko jeden. Wyobraźmy sobie „konspiracyjne państwo polskie“, którego obywatel będzie ulegał dwu rządom: konspiracyjnemu i jawnemu zaborczemu; czy będą tu dwa zwierzchnictwa? Nonsens. A więc któraż władza będzie zwierzchniczą, które państwo będzie państwem? Jawne, zaborcze. Tamte będzie tylko tajną organizacyą społeczną, mającą z państwem właśnie tyle wspólnego, ile ma wieża katedry strasburskiej z brodawką na nosie algierskiego Deja. Zarzucam p. Brzozie, że całą swoją budowę teoretyczną wsparł na fałszywych z gruntu wyobrażeniach, jakoby prawnych. To już nie konceptualizm, to zwykłe nieuctwo.

A jakże będzie z charakterem prawnym związków tajnych, czego z taką nadzieją uchwycił się p. Brzoza? Albo się uznaje, że nie ma prawa bez przymusu, a wtedy jedynym źródłem prawa jest państwo i związki tajne, jako nie oparte na prawie, nie mają żadnego charakteru prawnego; albo da się pomyśleć prawo bez przymusu, zbliżone do moralności prawo konwencyonalne, anarchistyczne (p. Brzoza powinien znać broszurę Stammlera o anarchiźmie), ale wtedy dla prowadzenia nawet takiej polityki, jak ją pojmuje autor, nie trzeba fabrykować sztucznie państwa.

Na dobrą sprawę możnaby na tem skończyć rozważanie tej poronionej próby. Całą „nowość“ swego „nowego kierunku“ autor oparł na twierdzeniu, że polityka „naukowa“ musi być państwową i że w naszych warunkach jest możliwa, skoro „państwo polskie jest i żyje“ czy też może być w każdej chwili zorganizowane. Tę politykę autor przeciwstawił dotychczasowej polityce (Boże się zmiłuj) narodowej, która nam daje same klęski. Wykazaliśmy, że to, co autor pisze o państwie polskiem i państwowej polityce, jest oparte na niewybaczalnem... niezrozumieniu rzeczy, o których pisze, że polityka tajnej organizacyi, choćby bardzo silnej i stosującej teror, będzie po dawnemu polityką narodową, polityką pewnej organizacyi społecznej, moglibyśmy darować sobie i czytelnikowi zgoła fantastyczne pomysły „praktyczne“ autora. Parę uwag jednak musimy jeszcze dodać.

Uważam książkę p. Brzozy za szkodliwą nietylko dlatego, że jest oparta na fałszach naukowych, ale i dlatego także, że może się przyczynić do zupełnego skrzywienia stosunku pewnego odłamu młodzieży do sprawy polskiej. Ten „konceptualizm“, który jest tylko mędrkowaniem, może ją usposobić do używania najfałszywszej w świecie metody w rozważaniach politycznych; to urojone rozróżnienie polityki narodowej i państwowej może ją odciągnąć od pracy narodowej i uczynić bezpłodną wśród gromkich frazesów o polityce państwowej. Ta fikcyjna państwowość polska stwarza niebezpieczeństwo zadowolenia się „państwem konspiracyjnem“, które staje się chochołem, usypiającym żywe, jasne dążenie do niepodległości; wszak idzie tylko o sankcyę międzynarodową, bez której obejść się można!

Taką samą wartość mają pomysły, zawarte w drugiej części książki. Tu niewiele możnaby dodać do surowej oceny p. Wł. Studnickiego w „Krytyce“. W konspiracyjnem państwie polskiem muszą być obywatele (każdy zatem będzie miał dwa obywatelstwa: tajne i jawne); z jakąż przykrością odczytuje się te myślowe łamańce, w których terminów naukowych nadużywa się w sposób tak zupełnie... rozbrajający! Potem,

naturalnie rząd polski, nie rząd narodowy, ten z 63 roku, który był wprawdzie „najwyższym autorytetem moralnym w społeczeństwie“ (125) ale miał tę wadę, że nie był.. państwowym. Nie; rząd p. Brzozy może nie mieć autorytetu, ale będzie „organem przymusu socyalnego“ (128). Rząd monarchiczny; nie dlatego, żeby p. Brzoza widział pewne dobre strony ustroju monarchicznego (a jednak zapewniam pana, że są i to bardzo ważkie), lecz dlatego, żeby „tworzyły się legendy wśród ludu“ (132). Tak niedowiarki uznają potrzebę religii dla motłochu. Rządy gabinetowe; większości parlamentarne stronnictw, ukształtowanych nie na zasadzie stosunku do problematów życia jawnego, lecz na zasadzie stosunku do polityki podziemnej; upaństwowienie wszystkich funkcyi życia społecznego... słowa, słowa, słowa, słowa! I majaczenia na jawie: vigilantis somnia.

Albo ten imperyalizm wewnętrzny (równie dobrze mógłby się nazywać kontrapunktem: już to p. Brzoza ze słowami nie robi sobie ceremonii): negacya kodeksów narzuconych; powszechna mistyfikacya, że się prawa trzymamy, gdy my tymczasem będziemy mieli zupełnie inne kodeksy; przecie ściąganie od dłużnika wierzytelności, skoro jest oparte na przepisie kodeksu cyw. austryackiego, kodeksu Napoleona czy B. G. B. niemieckiego — to uznawanie zaborów, jak np. korzystanie z państwowych poczt, kolei, telegrafów! I szkół, o młodzieży! Ponieważ roli nie można zakonspirować, jak browninga, trzeba zmienić tytuł posiadania: „Własność prywatna, oparta o pruski, austryacki lub rosyjski kodeks cywilny może być jedynie fikcyjna“ (145): niezbędne jest to „wyrafinowane rozróżnienie“ (146). Wszystko zostanie upaństwowione; dotychczasowi właściciele będą podstawionemi firmami; wszystkim będzie się zdawać, że to są skąpcy, chowający pieniądze do pończochy, a oni naprawdę będą musieli wszystko oddawać rządowi polskiemu (148).

Koroną tych konceptualistycznych konceptów jest hodowla rasy niepodległościowców. Rząd państwowy zapewni „tęższym jednostkom możność utrzymania się i rozpłodzenia w kraju swej rasy“ (164). Dobór sztuczny utrwali „co lepsze jest pod względem rasy politycznej“; zabezpieczy „warunki hodowli bojowników lepszej sprawy“ (165). Ba! „W Galicyi możnaby także zdobyć wpływ na awans urzędników“ (165)...

Dość, dość! I nie chodzi tu już o te niemożliwości prawne, gospodarcze, polityczne, które tak łatwo wykazywać; nie o to karyerowiczostwo, którego niebezpieczeństwo tak słusznie wskazał p. Studnicki, nie o te nonsensy i niebezpieczeństwo, których sam spis wymagałby osobnego sylabusu wielkości sporego tomu, ale o to kłamstwo, o to ciągłe kłamstwo, nie wobec rządów, lecz wobec samego siebie; o tę zabójczą dla społeczeństwa atmosferę ciągłej fikcyi, sprzyjającą rozmnażaniu się najszkodliwszych miazmatów. Najzacieklejszy przeciwnik „liberum conspiro“ nie mógłby dać więcej zabójczej karykatury wszelkiej roboty konspiracyjnej. Na szczęście, praca konspiracyjna oparta jest na dużo zdrowszych zasadach. Słuszne myśli, rozrzucone tu i owdzie w książce p. Brzozy, nie są ani jego własnością, ani nie wiążą się z jego „systemem“. Społeczeństwo nasze na drodze organizowania sił swoich jawnego i tajnego pójdzie swoją drogą, drogą, wskazaną mu przez zdrowy instynkt, którego pro-

stych, jasnych wskazań, nie zamącą ani czcze filozofowania, ani chorobliwe majaczenia p. Brzozy.

„Zagadnienie polityki niepodległości“ pozostanie, jako smutny pomnik bezsilności, upajającej się rządami w krainie majaków. Na tytułowej karcie tej książki, jako motto, winny widnieć słowa Dziennikarza z „Wesela“:

Usypiam duszę mą biedną
I usypiam brata mego“...
(Akt II scena 7).

B. Kościesza.

Oświatowa działalność Kołłątaja.

Oświata jest podwaliną egzystencyi narodowej, jest tym czynnikiem, który warunkuje jej świetność, a w chwilach kryzysu państwowego podtrzymuje ją w duszy rozbitego społeczeństwa.

Bez światła, bez zrozumienia potrzeb i dążeń swych, naród będzie się błąkał w ciemnościach wegetacyi, kierując się ślepemi odruchami serca czy przyzwyczajeń. Będzie narodem według praw przyrody, bo będzie miał wspólną ziemię, wspólny język, wspólne nawet tradycye, ale zabraknie mu tego, co stanowi o rozwoju ducha i myśli społecznych, o rozkwicie potęgi i ekspansyi na zewnątrz, o promieniowaniu na inne masy narodowościowe zupełnie swoistych idei i własności wnętrznych, zabraknie mu kultury narodowej. Naród, który nie wytwarza sobie własnej myśli i własnego sposobu wewnętrznego życia, nie może być sprawnym organizmem, nie zaważy, jako czynnik w ogólnym bilansie narodów, ścierających się w walce o byt intelektualny. Naród taki wreszcie, jako wartość i siła bierna łatwo podporządkuje się jakiejś energii czynnej, łatwo odda się razem z ziemią i całym materyalnym dorobkiem — rządom obcej myśli. A z tą chwilą musi się zacząć powolne krępowanie go łańcuchami niewoli całkowitej. Jeśli weźmiemy za przykład Polskę, to widzimy, że razem z samodzielnością umysłową rośnie w niej świetność polityczna. Bo tak musiało być i było wszędzie. Póki nad wszystkiemi znaczniejszemi narodami ciążył wpływ kościoła katolickiego, póty i nam nie groził upadek. Od czasu kiedy w Europie rozszerzyła się reformacya, kiedy poczęła się religia upaństwawiać, a u nas po krótkim błysku swobody zapanowała reakcya — zarysowuje się między państwowością zachodnią, a naszą coraz głębsza różnica. Kiedy zachodnie społeczeństwa rozjentowały się w potrzebie zmiany rządu na absolutny, my tego zwrotu nie byliśmy zdolni uczynić raz dla układu, nierówniejszego niż na Zachodzie, sił społecznych, powtóre, że szlachta, od której oczekiwać trzeba było tej reformy dlatego właśnie, że inne stany były za słabe. by rząd mógł się na nich

oprzeć, nie umiała sobie uświadomić jej potrzeby. A nie umiała dlatego, że była ciemna, że zabrakło jej samoistnej myśli, że po świetnym okresie rozwoju intelektu i kultury narodowej w tem większą popadła apatyę, tem bezwolniej skłoniła się ku reakcyi i zrzekła się władzy myślenia za siebie na rzecz duchowieństwa, przedewszystkiem Jezuitów, którzy po tę władzę sami przyszli. Ona zaś w obłędnym tańcu rozpasania staczała się w przepaść, uwierzywszy w swoje ślepe ideały pseudowolności. Skończył się wiek złoty umysłowości naszej, odrodzenie jej przynosi nam oświecenie dopiero, zapóźno niestety dla uratowania bytu politycznego Polski.

W II. połowie XVIII wieku w narodzie było jeszcze pod tym względem bardzo źle. Od końca XVI wieku zwolna rozpanoszyli się w Polsce Jezuici i rozpoczęli walkę z największem dla nich niebezpieczeństwem humanizmu: z sekularyzacyą i wolnością wiedzy. Założeni przez Lojolę w celu zwalczania herezyi reformacyjnych, rozumieli, że walka z tak żywotnym i poważnym ruchem umysłowym nie powiedzie się póki nie wyrwie się korzeni wrogich idei z gleby uczuć i myśli ludzkiej. Silnie zorganizowani zabrali się do dzieła mądrze, wykorzeniali bowiem nowe prądy i samodzielne myśli z młodzieńczych głów i serc. Za teren walki więc obrali sobie szkolnictwo. Ogarniali je coraz namiętniejszym uściskiem fanatyzmu religijnego. wiązali na nowo myśl, wyswobodzoną przez humanizm i próby reformacyi, w łańcuchy scholastyki średniowiecznej. Trzeba było szkoły naprzód wydrzeć z pod władzy akademii, trzeba było i tą akademię zawrócić z drogi wiedzy ku dogmatycznemu nauczaniu. Wszczęła się walka, zakończona zwycięstwem Jezuitów. Podstępnie wyłudzali oni od króla subsydya lub przywileje dla pewnych szkół i zagarniali kolejno te ostatnie. Stefan Batory i Zygmunt III całą swą powagą królewską popierali propagandę jezuicką. Skończyła się też świetność uczelni, opuszczonej odtąd przez obcych przybyszów i rodaków, żądnych wiedzy i czystej nauki, skończył się rozwój umysłowości i literatury polskiej.

Blisko 2 wieki minęły, wieki mroku i snu, ciemnoty kultury umysłowej i narowej. Ale jak wszystko, tak i reakcya miała swój koniec. W roku 1773 Klemens XIV zniósł zakon Jezuitów. Naród nasz w poważnej swej części sarkał na bullę papieską.

Tymczasem przyszło i do nas oświecenie. Nie wytworzyło ono nowej, samodzielnej myśli w Polsce, ale przyniosło ją — spóźnioną z Francyi. Tylko inne warunki sprawiły, że inaczej przyjęły się u nas, jak na Zachodzie, ideały Encyklopedystów francuskich. U nas popęd do reformy rozwijał się przedewszystkiem z poczucia rozpaczliwego położenia państwa. Nowe kierunki umysłowe, zmuszające do zastanawiania się nad zagadnieniami życia, otworzyły oczy Polaków o wybitniejszych umysłach na to nasze życie społeczno - polityczne i jego smutne braki.

Mężem, który najprzenikliwiej w naród patrzył i najlepiej jego położenie i stan ducha przejrzał i rozumiał, a może i najjaśniej widział drogę do ratunku, najpraktyczniejsze radził do niego środki — był Hugo Kołłątaj. Na arenę dziejową przyszedł, kiedy w sercach panował zamęt a w głowach poczęły krystalizować się myśli reformy politycznej i społecznej. Trzeba było radzić, radzić szybko, bo przepaść, otwierająca się przed narodem od XVI wieku teraz poczęła zarysowywać się wyraźnie w rozpro-

szeniu mgieł zaślepienia swawoli szlacheckiej. Przyszedł mocny i śmiały, ambitny i zdobywczy, wnosił do narodu wiele, bo ogromną umiejętność pracy i myśl jasną, trzeźwą potężną, wreszcie talent w dziedzinie pracy naszej XVIII wieku największy. Nie dawał może Staszycowego serca, ale wartość jego umysłu i zdolności organizatorskich była w tych naszych ciężkich godzinach pierwszej wagi, bo uczyniła go nauczycielem narodu.

Syn wieku oświeconego za podwaliny szczęścia narodu uznawał oświatę, a co za tem idzie uświadomienie społeczno - polityczne.

Nie od polityki zaczął życie dla narodu. Rozumiał, że aby dobrze w kraju było, trzeba od podstaw przebudowywać to, co się od podstaw psuło. Sprawiedliwość i potęga państwa, to dwie wytyczne, po których winna, według niego, pójść myśl polityczna polska. Ale jakże się ma przyjąć ten ideał w głowach otumanionej anarchią i szaleńczem hasłem „Polska nierządem stoi“, szlachty, która wierzyła jeszcze święcie w równie szaloną fikcyę — jednomyślności. W całości swej była to masa ciemna, którą z głębokiej nocy blisko dwuwiekowej zaczął ledwo budzić brzask świadomości własnej jej niedoli. Nie znała jeszcze przyczyny nieszczęścia ni źródła i w obłędzie strachu rzucała się na oślep w ramiona wrogów, wierząc bezkrytycznie w zwodnicze słowa nadziei, że będzie lepiej, byle... oddał się naród z bezgraniczną ufnością jednemu z nich, jako silniejszemu. Niby orędowały sąsiedzkie mocarstwa za ogłupiałą szlachtą wobec słabego do bezwładu rządu naszego, naprawdę orędowały za sobą u ciemnoty i anarchii szlacheckiej. Niestety, rozumiały nasze położenie i znały nasze ówczesne społeczeństwo lepiej, niż ono siebie samo. Szlachta ciemna, magnaterya groszem cudzym spodlona, równie zresztą anarchistyczna, lud i mieszczaństwo prawie obojętne. A tylko mała liczba światłych mężów, podejmujących się roli nauczycieli narodu. To też chciał Kołłątaj zwalczyć ciemnotę, chciał rozjaśnić umysły młode, by poczęły same za siebie myśleć i szukać wyjścia. Była już instytucya o takim zakresie pracy, a była nią komisya Edukacyjna, która po zniesionym wreszcie zakonie Jezuitów, objęła w swe ręce całe szkolnictwo i sekularyzowała je. Zwlekano tylko z reformą samej akademii z różnych względów. Komisya Edukacyjna była przykładem naszej odruchowości w polityce i braku silnych, bezwzględnych charakterów. Powstała na sejmie, który zatwierdził I. rozbiór Polski, za inicyatywą kilku ludzi, w życie zdołała wejść dzięki zniesieniu przez papieża zakonu Jezuitów, bo nikt nie dawał społeczeństwu innej rady, czemby zastąpić dawne władze szkolne. Zwalczana potem przez nieprzygotowaną szlachtę do przełomu tak ważnego w wychowaniu umysłowem, w przeprowadzaniu reform w poszczególnych szkołach, spotykała komisya wiele trudności. Sama zaś nie posiadała wiele sił i zaradności, miała w swem łonie ludzi uświadomionych, ale pozbawionych talentów organizatorskich, niechętnych może walce bezwzględnej, szlachetnych, ale mało praktycznych. Kołłątaj przedstawiał natomiast kontrast w stosunku do tamtych ludzi, mając i odwagę i siłę parcia naprzód swych czynów, wybitne zdolności organizatora i niezwykły w Polsce swą trzeźwością umysł. I dzięki tej bezwzględnej śmiałości i umiejętności wykonania zamierzonej pracy mimo oporu tych, dla których to robił, dzięki tej wyjątkowej przedsiębiorczości, sprężystości i praktyczności, jakie posiadał w czynie

Kołłątaj — Akademia krakowska doczekała się reformy, która, kto wie czyby ją w wieku XVIII-ym nie ominęła.

Podjął się tej pracy reformatorskiej, gdy Komisya powołała go do siebie, poznawszy wielką pracę i wybitny umysł, ujawniające się w spełnianiu przez niego obowiązków członka Tow. Ksiąg Elementarnych. Młody, pełen sił niezużytych i zapału garnął się do tej pracy. Energia, temperament i ambicya rwały go naprzód na wybitne stanowisko społeczne.

W roku 1777 stanął w Krakowie i rozpoczął w imieniu Komisyi Eduk. wizytacyę szkół Nowodworskiego, zostających pod zwierzchnictwem Akademii. W przeciągu paru miesięcy zaprowadził w nich nowe porządki, a choć się nowy plan nauk i uświecczenie szkół rodzicom uczniów nie podobało, potrafił narzucić swoją wolę, której już w rok potem było społeczeństwo wdzięczne.

Sprawa zaś reformy samej Akademii napotykała duże trudności, gdyż przedstawiała się mniej więcej w ten sposób: Stanisław August wyznaczył był biskupa krakowskiego, a kanclerza Akademii, Kajetana Sołtyka na jej wizytatora. Ten jednak, nie mogąc dopełnić wizyty z powodu uwięzienia, teraz, pogrążony w melancholii, nie przedsiębrał żadnych czynności w tym kierunku; wizyta jego urzędowo jednak nie była odwołaną. Żaden komisarz nie chciał się jej podjąć, bojąc się narazić biskupowi, gdyby ten swe prawa wizytacyjne uznawał i dla siebie zastrzegał.

Dla Kołłątaja ten wzgląd nie istniał: widział potrzebę reformy, wysoko ją cenił — to mu wystarczyło, by czuć się uprawnionym do zajęcia stanowiska i wypełnienia obowiązków, złożonych kiedyś na Sołtyka. Bo to było cechą charakterystyczną przez całe życie Kołłątaja, że mniej się liczył z ludźmi, jak ze swymi zamiarami i celami i to, co w czasie przygotowań do powstania może, kto wie, spowodowało zło przedwczesnym wybuchem. dozwoliło mu teraz spełnić wielką zasługę narodową.

Ale trudności w podjęciu reformy Akademii było więcej: wszak społeczeństwo, sympatyzujące z Jezuitami, szemrało na reformy szkolne, wszak z wielkim trudem przychodziło te szkoły, często tak niechętne nowym prawom, nakłaniać ku stosowaniu się do tych praw. A co dopiero burzyć stare zwyczaje w samej Akademii, w tej uprzywilejowanej instytucyi naczelnej, do której czuło inteligentniejsze społeczeństwo silne przywiązanie. Trzeba było zachować wielką ostrożność, zręczność, żeby nie zrazić do swej nowatorskiej roboty, a razem trzeba było mieć siłę i odwagę pokonania spodziewanego oporu i umiejętność przeprowadzenia operacyi na tak ważnym dla narodu organizmie, polegającej na zasileniu go nowymi, żywotnymi sokami miast skrzepów, spowodowanych Jezuicką gospodarką. Trzeba było mieć słowem jasną i uczoną głowę, dzielną dłoń i — znaczenie i zaufanie w narodzie. Pierwsze dwa warunki, jak już wiemy, posiadał ksiądz Kołłątaj, trzeciego nie miał czasu zdobyć sobie dotąd, brak jego uczuł też później.

Znała go komisya, nie znał rząd ni społeczeństwo. Udana próba jednak ze szkołami nowodworskiemi i śmiałość młodego pracownika sprawiły, że komisya wysłała go do Uniwersytetu Jagiellońskiego dla przeprowadzenia śledztwa niby, potem został

zamianowany urzędowym wizytatorem i reformatorem. Wziął się energicznie do pracy i na razie przez dłuższy czas nie spotykał nawet żadnych zewnętrznych przeciwności.

Sprawy administracyjne uporządkował prędko. Wykrył zapomniane fundusze i dochody, doprowadził do ładu bibliotekę i archiwum. Sprężysta jego ręka z zadziwiającą szybkością pousuwała zewnętrzne braki.

Wraz z wyznaczoną osobno komisyą odnowił ducha wydziału teologicznego, udało mu się tam doprowadzić do zrzeczenia się przez wielu profesorów swych stanowisk na rzecz sił młodszych.

Na wydziale filozoficznym najwięcej było do zrobienia. Zwalczał tam energicznie takie rzeczy, jak Colloquie średniowieczne, dysputy scholastyczne. Wykluczył wszelkie zajmowania się astrologią. Zastępował to wszystko prawdziwą nauką: ułożył plan wykładów matematycznych.

Prawa natury miały zająć miejsce reguł teoretycznych sztucznej moralności. Filozofią suchą, opartą na dogmatycznych założeniach i scholastycznych dociekaniach zamienił na filozofię żywą, nową, idącą do nas z Zachodu, która miała za podstawy nie ślepą wiarę, a pracę rozumu.

Kołłątaj racyonalistą w całym tego słowa znaczeniu nie był, być nie mógł: służyć musiał, jako duchowny, idei kościoła katolickiego. Ale był przecie mniej klerykalnym, niż świeckie społeczeństwo nasze, nie widzące po za duchowieństwem dobrych nauczycieli dla siebie.

I wziął bardzo dużo z racyonalizmu angielskiego, jak brali mniej, lub więcej wszyscy nasi „oświeceni“.

Zadaniem racyonalistów była walka z ciemnotą, ideą przewodnią — wiara w postęp. To samo było dążeniem Kołłątaja.

Racyonalizm angielski, jak to ujmuje profesor Chrzanowski, ma dwie cechy główne: 1) krytykę religii objawionej i 2) krytykę pojęć politycznych i społecznych. Pierwsze pomijał ksiądz Kołłątaj, bo musiał, bo sprzeciwiało się pewno z jego wierzeniami i pojęciami, ale o drugie walczył całem swojem życiem.

To też rzucał teraz podwaliny śmiałą ręką pod królewski gmach rozumu.

I postarał się o ludzi, którzy z katedr Jagiellońskiej akademii mieli dawać młodzieży nowe założenie filozoficzne w pytaniu: co się dzieje u nas i z nami, i dalej pytać mieli w badaniach, dlaczego tak jest, a nie inaczej? i kazać szukać odpowiedzi we własnym umyśle uczniowi.

Wolno się było teraz pytać o wszystko. I tych, co śmiałe pytania rzucali wbrew opozycyi kleru wyrokującego na zasadzie z góry urzędowo naznaczonych wyjaśnień „słów Bożych“, teraz przywracano do stanowiska uczonych. Tak profesor Śniadecki w zreformowanej przez Kołłątaja Akademii wygłosił wielkie słowo o znaczeniu wolnych badań przyrodniczych w wykładzie o Koperniku, którego z szarlatana uczynił w opinii społecznej geniuszem.

W tym duchu szły wszystkie reformy Kołłątajowskie na Wszechnicy.

Stworzył jeszcze młody reformator przy Akademii seminaryum nauczycielskie, by módz zasilić nowemi siłami szkoły, którym brakło zdolnych i rozumnych nauczycieli.

Wszystkie nowe prawa i projekty, po udatnym dopiero zastosowaniu, spisywał i układał w ustawy, wszystkie zostały też zatwierdzone i poparte przez zachwyconą swym delegatem komisyę Edukacyjną.

W 1870 roku Akademia została podzieloną na 3 kolegia: fizyczne z lekarskim, prawne i teologiczne i powróciła do dawnego stanowiska — zwierzchniczki i matki wszystkich szkół w Polsce.

Lecz zbudził się wróg zasługi Kołłątajowskiej: była nim kapituła krakowska, dawno cicho zawistna, bo Kołłątaj z Rzymu został mianowany przez stosunki kanonikiem krakowskim, a to się miejscowej władzy nie podobało. Przez intrygi rozniecono jakąś sprawę o dzierżawę dóbr pod Krakowem, która się wlokła, a nawet spowowała niemiły sąd nad Kołłątajem Sołtyka, który się zbudził z melancholii, by wywrzeć swój gniew na przedstawicielu rodziny od dawna swarzącej się z Sołtykami. Zaczęto krytykować teraz całą jego reformatorską działalność. Kołłątaj był zmuszonym przerwać swoje urzędowanie, potem wrócił jednak, wzywany przez młodych profesorów i poparty przez jednego z najszlachetniejszych mężów, jakich mieliśmy w tym czasie, a może i w całej naszej historyi, przez Ignacego Potockiego.

Drugi okres działalności młodego reformatora po powrocie, było to już dopełnienie zaczętych prac. Sprowadzał na wszystkie wydziały z zagranicy młodych uczonych i zdolnych ludzi, których śledził pilnie z kraju, których wielu zresztą sam wysyłał na obce uniwersytety, odkrywszy w nich zdolności przydatne naszemu. Pozatem zajmował się jeszcze kwestyą finansów Wszechnicy.

Został w końcu rektorem, ale okazywał już mniej do pracy zapału, krępowany trochę przez przyboczną radę swą, na własne żądanie przydzieloną mu za powtórnym przyjazdem do Akademii, a przytem wysunęła się teraz ujemna strona jego charakteru t. j. interesowność, która wielu do niego zraziła.

Wyjechał do Warszawy szukać powodzenia na polu polityki, na zdobycie tu stanowiska odpowiedniego użył swej energii i przedsiębiorczości i powiodło mu się znakomicie.

Do pracy oświatowej wróci jeszcze raz, kiedy zostanie wyrzucony przez dawnych towarzyszów pracy, po za nawias życia politycznego.

Będzie w ostatnich latach swego życia już tylko doradcą Tadeusza Czackiego, wizytatora szkół wołyńskich, podolskich i kijowskich. Mamy z tych czasów cztery tomy: „Listów do Tadeusza Czackiego“ w których porusza wiele spraw reformy szkolnej.

Widzimy z tej korespondencyi, z wieloma właściwie ludźmi i profesorami w Polsce, jak był przez nich cenionym, jako pedagog i wielki umysł.

Czacki, Woroniec, Osiński, Jan Śniadecki, Linde, Euzebiusz Słowacki i inni radzili się go przy wydawaniu swoich dzieł, jak i o zmiany i sposoby nauczania. Czacki przysyłał nawet do niego w Krzemienieckie nauczycieli po ścisłe wskazówki, co do wykładów historyi powszechnej n. p.

I tem się zamyka jego działalność na polu nauki i oświaty, ale tylko w zakresie szkolnictwa, wychowania młodzieży. Po wyjeździe do Warszawy zajął urząd referendarza Litwy, który stanowił pierwszy szczebel jego karyery politycznej, początek jego szczytnego nauczycielstwa narodu. Wszedł dzięki Stanisławowi Małachowskiemu w grono ludzi, którzy potem stanowili Towarzystwo Patryotyczne.

O ile był Kołłątaj wartością dodatnią lub ujemną w naszem ówczesnem życiu politycznem — do tej pory nie obliczono, i nic pewnego powiedzieć nie można. Natomiast wiemy napewno, że bezwględny pożytek dała nam jego praca oświatowa. Możemy się dzisiaj spierać, czy Kołłątaj swym radykalizmem przyczynił się do upadku powstania, czy też przez nakłonienie do rozpaczliwej obrony, skazanej na stracenie placówki na Pradze ratował honor Polaków i powstania. Sprawą niewyaśnioną jest, czy przywłaszczył sobie dukaty i klejnoty skarbu powstańczego i jakie pobudki mogły nim kierować w wypadku tym, jak i innym, a mianowicie — złożeniem akcesu do Targowicy.

Lecz kwestyą sporną nie jest dobro reformy Akademii i jej szkół ani cenne rady, udzielane wtedy, kiedy usuniętemu z pośród czynnego społeczeństwa nic innego robić nie było wolno, jak zdala słać wskazówki.

A ze swoją nową bierną rolą ciężko mu było się pogodzić, bo energia jego, do ostatnich chwil życia nie zgasła, bo widział, że dzieła przezeń zapoczęte paczą się Więc pisał ze smutkiem do Lindego: „Po upadku rzeczy moich pożegnałem na resztę dni wszystkie polityczne i uczone tytuły. Te nawet Zgromadzenia uczone, których byłem członkiem w kraju i za krajem, albo upadły, albo się w inną zmieniły postać. Szkoła główna krakowska nie nie jest już więcej tem Zgromadzeniem, którego ja byłem twórcą i czynnym członkiem. Towarzystwo elementarne w Warszawie upadło... Wszystko to już przeminęło. Żyjemy dziś na zwaliskach dawnych między uczonymi zasług“.

A rady jego były przyjmowane gorąco i z wdzięcznością przez tych, co widzieli jego naprawdę głęboki rozum, co umieli odłączyć błędy życiowe od czystych zasług. I to jest charakterystycznem, że kiedy opuścili go wszyscy, ci nawet, co razem z nim kuli „w kuźnicy“ wielkie dzieło ratunku Ojczyzny, gdy nadeszła przegrana, upatrując winnych wspólnego nieszczęścia, rozgoryczeni na niego, ich wodza duchowego zrzucili piętno hańby — wówczas zostali przy nim ci, których młodymi powołał do kraju, skupił przy Akademii, zapalił w nich żądzę rozświecania przygasłych pochodni wiedzy w Polsce.

Wspólna praca oświatowa złączyła tych ludzi na całe życie z wielkim nauczycielem narodu; współżyli z nim myślą do końca.

I kto wie, czyby komisya edukacyjna nie runęła wcześniej, gdyby nie Kołłątaj, kto wie, czyby poszła pod swój koniec w kierunku oportunizmu, wobec ciemnoty społeczeństwa ówczesnego, gdyby on był stale w niej czynnym. Bo Kołłątaj był zawsze największą i najmocniejszą gwiazdą komisyi, tak, jako jej członek czynny, jak słał promienie gdy tylko swego światłego umysłu z wołyńskiego zacisza.

Spotkały go cięższe i sromotniejsze zarzuty i obelgi, niż innych działaczy, może głównie dlatego, że był silnym i bezwzględnym kierownikiem i wodzem, że mało oglądał się na uczucia i względy otoczenia, szlachetne nieraz, lecz poboczne. Ale rozumiał Kołłątaj, że „kto stopniami postępuje do przepaści, ten stopniami od niej wycofywać się może, lecz kto już stanął nad przepaścią, nie zostaje mu więcej, tylko jedno usiłowanie zwrócić się jak najrychlej od zguby i nieszczęścia sobie przygotowanego“.

Był ks. Hugon Kołłątaj człowiekiem charakteru niezwykłego w Polsce. I to może było właśnie największą wartością tego charakteru, że umiał iść naprzód, nie oglądając się wkoło, ni za siebie, że miał siłę i odwagę pięcia się w górę do raz zamierzonego celu.

Taki człowiek, jak Kołłątaj, albo wygrywa całe życie, albo, gdy raz mu się noga powinie, stoczy się w przepaść, a wtedy zarzucą go ludzie odsuwani przezeń w drodze w zwyż, kamieniami oszczerstw, i nie przebaczą nigdy, nie darują mu tego upadku. W dni naszej klęski politycznej pracy sumiennej, nieskalanie czystych rąk mieliśmy może i więcej niż inne narody w porze kryzysu, myśli, umysłów szlachetnych nie brakło nam. Ale jeden był wtedy w Polsce umysł tak trzeźwy, jasny i potężny realizmem swej myśli, jedne ręce tak sprężyste, silne i zręczne. To umysł i ręce Kołłątaja.

h.

Z PRASY I KSIĄŻEK.

O MŁODZIEŻ.

Prasa zaboru rosyjskiego bardzo żywo omawiała w ostatnich miesiącach sprawy młodzieży. Właściwie na jedno pytanie starano się odpowiedzieć: jakiem jest obecne pokolenie młodzieży — i nie odpowiedziano.

Jedni, jak p. Kimiorski widzą w obecnem pokoleniu młodzieży rolniczej brak zainteresowania się sprawami publicznemi, drudzy — jak Myśl Niepodległa — wskazują na oderwanie od życia i bawienie się nieziszczalnemi hasłami.

Najmocniej jednak atakuje młodzież „Głos Warszawski“. Do pozbieranych ze wszystkich stron zarzutów „Głos Warszawski“ dodaje swoje, takie n. p. jak snobizm towarzyski.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Komu „Głos Warszawski“ zarzuca snobizm towarzyski i obojętność dla spraw publicznych?

Młodzieży rolniczej, tym którzy już osiedli na roli ukończywszy studya, a więc ostatnim z tego pokolenia młodzieży, które zostało pod wpływem N. D. wychowane.

Jeżeli zważymy, że od czasu polityki bez zastrzeżeń Gazeta Warszawska, rozumiejąc, że nie może spotkać się z aprobatą ze strony młodzieży, głosiła zasadę wzięcia się do książki i zerwania z „polityką“ młodzieży, to z jednej strony stwierdzić musie-

libyśmy, że system zalecany przez Gazetę Warszawską znalazł wielu wśród młodzieży zwolenników, z drugiej strony mógł by nas zadziwić ton artykułów „Głosu Warszawskiego“, artykułów narzekających na obojętność i brak wyrobienia politycznego.

Mniej więcej przed rokiem z racyi sprawozdania lwowskiej „Czytelni Akademickiej“ „Gazeta Warszawska“ podnosiła jako znamienny i dodatni objaw zerwanie młodzieży z rozpolitykowaniem i wzięcie się do książki.

Życzenia więc wodzów narodu szły wtedy w odmiennym nieco niż dzisiaj kierunku.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Komu „Głos Warszawski“ zarzuca gubienie się w egzegezach teoretycznych i jałowych dyskusyach?

Tym, którzy dziś młodzież akademicką stanowią, a więc tym, którzy niewdzięcznością odpłacili za dobre rady wycofania się z polityki.

Ciekawsze jeszcze co „Głos Warszawski“ nazwie gubienie się w jałowych dyskusyach?

Więc będzie to nudne i starcze rezonowanie na temat n. p. niepodległości narodowej.

Młodzież chcąc powiedzieć własne słowo cofa się do jakichś przeżytkowych metod, bowiem odnosząc się nieufnie do „ojców“ i do „starszych braci“ nie uległa tej błogosławionej ewolucyi naszej myśli politycznej, dzięki której „Głos Warszawski“ może układać plany współpracy z Partyą Polityki Realnej i żałować dawnego zwalczania „ugody“.

„Głos Warszawski“ konstatuje więc u młodzieży „zastój myśli“.

— —

„Głos Warszawski“ — jak się zresztą do tego szczerze przyznaje — wie naogół zbyt mało o młodzieży, niepotrzebnie więc wiedząc zbyt mało, zbyt dużo pisze na ten temat.

Uchroniłoby go to od powtarzania przebrzmiałych od dawna wieści o „secesyach, rozłamach i rebeliach“.

Może się „Głos Warszawski żalić na brak wiadomości z życia młodzieży, ale nie może insynuować „kłótni o jotę w tekście ewangelicznym“, bo takie w życiu młodzieży jeśli są, to jako objawy bardzo nieliczne uważane przez młodzież samą za złe, zjawiają się w nielicznej grupie t. zw. socyal. demokratów, i tych z pośród młodzieży narodowej, których polityka n. d. doprowadziła do tak daleko idącej rozpaczy, że zabiła ich zdolności trzeźwego myślenia.

— —

Ś. p. Jan Popławski powiedział — jak nas poucza „Głos Warszawski“ — na krótko przed śmiercią, że każda rewolucya ma swoją chorobę psychiczną, i że rewolucya ostatnich czasów, której byliśmy świadkami, cierpiała na manię wielkości.

Zdaje mi się, że tylko tą chorobą usprawiedliwiać postępowanie „Głosu Warszawskiego“, który mając na celu sprowadzenie młodzieży polskiej do uniwersytetu warszawskiego, wbrew woli ogółu młodzieży polskiej, chce najpierw młodzież dzi-

siejszą w jaknajgorszym przedstawić świetle. Wszak wielkim ludziom wiele jest dozwolonem.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Młodzież kończąca szkoły polskie coraz nieliczniej wyjeżdża za granicę, natomiast w przeważającej ilości zapełnia polskie szkoły Krakowa, Lwowa i Warszawy. Mówić więc o złych skutkach oderwania od kraju jest rzeczą bezcelową.

Młodzież dzisiejsza nie jest ani obojętną dla spraw publicznych, ani nie gubi się w teoretycznych rozmyślaniach.

Coraz więcej zwolenników, nawet w t. zw. obozie postępowym zdobywają hasła narodowe, młodzież bardzo poważnie przygotowuje się do przyszłej pracy, a że ta praca nie pójdzie w myśl wskazań „Głosu Warszawskiego“, ani „grzęznącej w wysuszających mózg, paraliżującycych wolę egzegezach teoretycznych“ „Myśli Niepodległej“ to trudno.

Nie jest winą „bojkotu“, ani obecnego pokolenia młodzieży, że N. D. źle wychowała poprzednie pokolenie. I dlatego za tych obojętnych rolników my odpowiedzialności brać nie możemy. *Mr.*

Odezwa.

Koledzy!

Powszechne jest poczucie upadku życia społecznego młodzieży. Rozbita na gromadki nie odpowiadające istotnym różnicom przekonaniowym, podzielona na koła przejęte ciasnym duchem koteryjnym, zatraciła dziś młodzież nasza nie tylko front jednolity, który dawniej rozwinąć umiała, wobec każdej sprawy znaczenia narodowego, ale i to mocne tętno życia, które ją w organizmie narodu pulsem bijącym czyniło. Dziś leniwie wloką się jej myśli, a drobne jej czyny, jeśli tu i ówdzie wynikną, są raczej jak błędne echa jakichś dawnych mocnych głosów, niż jak silne, równe bicia zdrowego serca.

Stan ten ogólny zaciężył fatalnie także i na Czytelni akademickiej.

Niegdyś świetne ognisko myśli narodowej wśród młodzieży, wyrazicielka i przewodniczka jej najpiękniejszych dążeń, czemże dziś jest Czytelnia? Opuszczoną placówką i pustelnikiem, którego znaczenie zniweczonem zostało przez niedołęstwo tych, którym powierzono czuwanie na nim. W dziedzinie myśli jest dziś Czytelnia akademicka kulawą maroderką, w dziedzinie zorganizowanego jej czynu — czynnikiem rozstroju i zastoju.

Wobec spraw takich, młodzież całej Polski do głębi poruszających, jak sprawa szkolna w Królestwie, lub sprawa Chełmska, nawet wobec takich spraw Czytelnia akademicka nie umie dobyć się na nic więcej — jak na niedołężne: „nie wiem“,

„boję się“ — zostawmy te rzeczy powołanym. — Jakiś uwiąd starczy wieje na nas z bezradności tego stanowiska.

A sprawa ruska? Ta kość pacierzowa istnienia Czytelni Akademickiej lat ostatnich? Lecz czyż Czytelnia nie była już o włos od złamania tej własnej kości pacierzowej? Czyż przed półtora rokiem, podczas zbójeckiego napadu na naszą wszechnicę, Czytelnia Akademicka spełniła ciążący na niej obowiązek? Czy zajęła tę świetną postawę, do jakiej zaprawiała młodzież przed laty w chwilach niebezpieczeństwa narodowego na uniwersytecie?

Kilkunastu ludzi odwagą osobistą uratowało wtenczas wszechnicę i honor Czytelni, ale Czytelnia Akademicka, jako całość, spała. Ogół Czytelni Akademickiej świecił nieobecnością na posterunku.

Skąd ten upadek? Czy te ideały zawiodły, na których się oparła Czytelnia Akademicka od początku swego istnienia? Czy może formy były złe, w które ujęto życie młodzieży dla ich urzeczywistnienia? Nie. Jakże się mogą przeżyć ideały zjednoczenia młodzieży, obrony dorobku narodowego i pracy nad jego dalszym pomnożeniem? I czemuż tyle lat wiernie tym wzniosłym celom służyły?

Zawiodła tylko zdolność pewnego pokolenia młodzieży do wczuwania się w te ideały i umiejętność działania pod ich hasłami. Wyrosło bowiem pokolenie kaleckie, które nie potrafiło wciągnąć w pierś szerokim oddechem powietrza z obszarów całej Polski, pokolenie krótkozwroczne, które nie umiało widzieć nic poza zagadnieniami najbliższego otoczenia, które się zasklepiło w drobniutkich zadaniach codziennych robót i które wśród nich tak zniedołężniało, że nie dorosło już miary przynoszonych przez życie wielkich spraw dziejowych. Zasklepiwszy się w sprawach Galicyi wschodniej, pokolenie to z nich chciało wyprowadzić ideologię młodzieży p o l s k i e j.

Stąd rozdźwięk coraz większy z życiem — stąd coraz większe zacieśnienia myśli, wreszcie upadek sił własnych, zagrażający w końcu w rzeczywistości — podkopaniem tym ideałom, przy których się wciąż jeszcze formalnie stoi.

Ale to musi rychło minąć, uwiąd starczy nie jest chorobą właściwą młodzieży, może dotknąć co najwyżej jedno jej pokolenie. Widząc ten uwiąd i całe płynące z niego dla życia młodzieży niebezpieczeństwo, podnosimy dziś przeciw smutnemu stanowi Czytelni akademickiej opozycyę. Opozycyę w imię najistotniejszych ideałów, na których stała Czytelnia Akademicka od początku istnienia swego, w imię zadań, ciążących na niej wobec młodzieży i narodu.

Stoimy twardo na stanowisku, że Czytelnia winna jednoczyć całą młodzież dla Ojczyzny czującą i myślącą, stoimy przy tem, że musi być ona prawowitą wyrazicielką stanowiska narodowego całej polskiej młodzieży, ale chcemy, żeby tak było istotnie, a nie na papierze i w wyobraźni tylko.

Wiemy, że jednoczyć można tylko żywioły różnorodne, więc nie chcemy się jak artretycy umysłowi zamykać przed każdym nowym powiewem myśli. Owszem chcemy uczynić Czytelnię akademicką dostępną dla wszystkich, co dla Polski żyć i pracować pragną. Niech do nas przyjdą, z całą rozbieżnością wyrabiających się przekonań, wy-

znają je szczerze. We wzajemnem ścieraniu się tych przekonań w pracy ramię przy ramieniu nad ich wspólnem urzeczywistnieniem, wyrobi stę też jednolite oblicze, którego dziś polskiej młodzieży więcej, niż kiedykolwiek potrzeba. Cenimy bardzo wyrobione tradycye i formy organizacyjne, jako pierwszorzędne podstawy trwałości utworów społecznych. I dlatego uważamy za niebędne, aby Czytelnia zawsze być mogła przedstawicielką wszystkich, co czują i myślą po polsku. Ale dla osiągniecia przez nią tego zadania przedewszystkiem nie powinniśmy odpychać od niej innych przez formalne zaskorupienie w poglądach własnych.

Jesteśmy w pełni świadomi tych obowiązków, jakie ciążą na Czytelni ze względu na sprawę ruską na Uniwersytecie. Wiemy, że tu są kresy i misya historyczna nasza dziś jest bardziej zagrożona niż kiedyindziej.

Ale tę misyę i te obowiązki odczuć mogą tylko ci, co mają oczy i serca otwarte na wszystko, co się w całej Polsce dzieje.

Więc zasklepienie się w samych sprawach kresowych uważamy za zgubne i szkodliwe. Sądzimy, że stanowisko i dążenia nasze są tak dalekie od wszelkich kramików partyjnych, że pójdą z nami wszyscy niezaślepieni — wszyscy którym na sercu leży powrót Czytelni akademickiej do jej pierwotnych wielkich haseł, jej odrodzenia a przez nią i odrodzenia życia całej młodzieży akademickiej lwowskiej.

Do tych się też zwracamy. Odrzućcie od siebie plotki i zatargi dnia codziennego, ambicye i interesy ciasnych koteryi i w imię wiecznie żywych haseł odrodzenia narodowego stańcie przy nas.

Lwów, luty 1912. *Młodzież Narodowa.*

KORESPONDENCYE.

Jasło.

Szkoła wydziałowa żeńska.

Pisać o życiu młodzieży żeńskiej jest rzeczą trudną. Życie bowiem tej młodzieży jest banalne, płytkie, mniej zróżniczkowane i nie tak szerokiem płynie korytem, jak życie młodzieży męskiej. Jaki powód tego? Sądzę, że nie leży on w istocie charakteru kobiecego, ale raczej w systemie dotychczasowego jej wychowania. — Zmiana gruntowna wychowania młodzieży żeńskiej, zmieniłaby tę młodzież w kierunku dodatnim, więcej życiowym, a nawet więcej utylitarnym. Dotychczasowa zasada wychowawcza dla kobiet to: „bądź grzeczna, towarzyska“. Młodzież żeńska jasielska nie odbiegła od typu zwyż przedstawionego. Przypatrzmyż się bliżej tej młodzieży.

Lepiej jednak uwydatnią się jej rysy na tle wychowawczyń. — Namalujmy najpierw więc tło, a obraz już sam się nam pokaże. Wychowawczynie nasze

w większej części, nie zdają sobie sprawy ze swego żadania. — Właściwie nie są to wychowawczynie, tylko robotnice, które odrabiają przeznaczoną sobie pracę. Nauka i wychowanie bowiem u nas, to tylko odrabianie. Brak tam zupełnie głębszej myśli, zapału, umiłowania, idei! Niektóre z nich do tego stopnia nie nadają się na nauczycielki młodzieży, że same mówią, iż wolałyby kamienie tłuc na ulicy, niż wśród nas przebywać. Ta sami pani nauczycielka do tego stopnia wstydzi się zawodu swego, że nie niosłaby za żadne wynagrodzenie książek, idąc do szkoły, albo ze szkoły. Do tego używa uczennic z klasy, której jest gospodynią. — Nie znosi się u nas większych indywidualności, prześladując je, a popierając za to lizuństwo, lokajstwo i tym podobne cnoty. — Nie znosi się również objawów patryotyzmu gorętszego, wyśmiewając zbieranie „składek na dar grunwaldzki“ i prześladując młodzież biorącą udział w obchodach narodowych „nieurzędowych“. — Tyle o wychowaniu. O nauce — lepiej nie mówić...

Jakże może wypaść charakterystyka ogółu młodzieży, który jest demoralizowany takiemi zasadami swych wychowawczyń. Szarość, bezmyślność i filisterstwo, oto cechy, które zapanowały nad ogółem naszych koleżanek. Żadne wznioślejsze hasła, nie mają przystępu do nich. Bojaźń przed złem świadectwem i przed szykanami powstrzymuje od gorętszych wystąpień, a najwznioślejsze idee nie potrafią skupić, zsolidaryzować nas.

To ogół. Część jednak młodzieży, wprawdzie nieznaczna, zrozumiała swoje zadanie, swoje posłannictwo. Ta część patrząc się na dzisiejsze życie Narodu, zrozumiała, że przed niemi długa droga pracy i odrodzenia. — Zrozumiałyśmy, że kobieta jest bardzo ważnym czynnikiem społecznym i narodowym, i że w walce o Niepodległość doniosłą może odegrać rolę.

Rozumiejąc swoje posłannictwo, ułożyłyśmy program swego samowychowania. Chcemy się wychować na samodzielne obywatelki Narodu, które rozumieją położenie tego Narodu, a zarazem zdają sobie sprawę ze swoich obowiązków i czują się odpowiedzialne za swoje czyny przed Społeczeństwem i swojem sumieniem. — Kobieta wychowana w naszem środowisku, potrafi z ogniska domowego zrobić kuźnicę wychowania narodowo-niepodległościowego, a także zajmując jakiekolwiek stanowisko, zrobi z niego warsztat pracy narodowej, organizując wokół siebie życie, ogrzewając je swojem uczuciem miłości i poświęcenia dla sprawy, a nawet sądzimy, że niejedna z nas może stanąć w szeregach walczących o Niepodległość, czy to z bronią w ręku, czy jako siostra miłosierdzia.

Hasło ćwiczenia fizycznego znalazło wśród nas szereg zwolenniczek, które z zapałem uczęszczają na gimnastykę do „Sokoła“. W ostatnich czasach nawet namyślałyśmy się nad zorganizowaniem wśród nas „Scoutingu“, warunki jednak zewnętrzne na to nie dozwalają. Z czasem jednak i to urzeczywistnić się da.

Skupione pod sztandarem Niepodległości, wychowując się samodzielnie — potrafimy odeprzeć wszelkie zakusy, które płyną tylko z niezrozumienia i głupoty, a życie pokaże, że po naszej stronie słuszność!

KRONIKA.

W sprawie obsadzenia katedry botaniki i otwarcia pracowni botanicznej w uniwersytecie Jagiellońskim odbył się dnia 12 lutego na uniwersytecie krakowskim wiec akademików przyrodników. Katedra botaniki została opuszszona przez profesora Rostafińskiego przed dwoma laty. Senat akademicki mimo to, iż w ciągu tego czasu zapewniał akademików, że na katedrę tę powoła prof. Raciborskiego ze Lwowa, dotychczas tego nie uczynił. Młodzież więc postanowiła tą kwestyą zająć się przez urządzenie wiecu, na którym jednogłośnie uchwalono następującą rezolucyę: 1) zwrócenie się do ministra oświaty z żądaniem jak najszybszego pomyślnego załatwienia sprawy zamianowania prof. Raciborskiego profesorem botaniki i otwarcia nareszcie pracowni botanicznej; 2) ogłoszenie na dzień 13 i 14 lutego dwudniowego strejku demonstracyjnego, obejmującego wykłady przyrodnicze uniwersytetu krakowskiego.

Żądanie krakowskiej młodzieży zostało uwieńczone pomyślnym skutkiem, bowiem w tych dniach prof. Raciborski został zamianowany profesorem katedry botaniki.

Obchód akademicki ku czci Hugona Kołłątaja został urządzony dnia 28. lutego staraniem ogółu młodzieży uniwersytetu krakowskiego. Profesor Ignacy Chrzanowski wygłosił odczyt o Kołłątaju, jako o działaczu społecznym i politycznym, jak również podniósł znaczenie Kołłątaja jako reformatora uniwersytetu krakowskiego. Po odczycie zostały wygłoszone przemówienia reprezentacyjne stowarzyszeń ideowych uniwersytetu a mianowicie: Czytelni akademickiej, Promienia, Zjednoczenia i Znicza. W obchodzie wzięła udział licznie zebrana młodzież wespół z gronem profesorów i starszem społeczeństwem.

Obchód zakończony został deklamacyą wiersza Or-Ota o Hug. Kołłątaju.

W ostatnich czasach na uniwersytecie krakowskim stosunki wśród ugrupowań młodzieży akademickiej uległy poważnym zmianom. Jak wiadomo powszechnie, jeszcze podczas świąt Bożego Narodzenia w Paryżu obył się Zjazd „Związku Stowarzyszeń Polskiej Młodzieży postępowej", na którym większością głosów uchwalono zerwanie bojkotu zarówno szkół rządowych w Królestwie polskiem, jakoteż uniwersytetu warszawskiego, mimo to, że dotychczas ogół młodzieży polskiej obowiązują w tej sprawie uchwały zjazdu zakopiańskiego, które stoją na stanowisku wręcz przeciwnem, bo na stanowisku bojkotowem.

„Spójnia" krakowska, należąca do „Związku" postanowiła z uchwał paryskich wyciągnąć odpowiednie konsekwencye, wskutek czego wszystkie inne kierunki młodzieży usunęły z tego powodu „Spójnię" z konferencyi międzystowarzyszeniowej i nadal wspólnej akcyi z tem stowarzyszeniem prowadzić nie będą.

Polskie szkolnictwo na Śląsku znowu walczy z ogromnemi trudnościami.

W Cieszyńskiem Niemcy przez swe „Schulvereiny" i „Nordmarki" germanizują szkoły polskie. Po gwałtach polskich w Sibicy, zaprowadzili w Trzyńcu w szkole utrakwistycznej wykładowej język niemiecki we wszystkich klasach, a odbierając w ten

sposób ludności polskiej resztę praw językowych i narodowych w szkole, zmusili dzieci ludności polskiej, stanowiącej 69% ogółu mieszkańców do pobierania nauki w języku obcym. W Ostrawskiem wydziały gminne, opanowane przy pomocy zarządów kopalń przez Czechów, nie chcą przyjąć szkół prywatnych polskich, utrzymywanych przez Macierz szkolną i Towarzystwo Szkoły Ludowej, na koszt gminy, jak również wzbraniają się otworzyć publiczne szkoły polskie.

Obecnie Sejm śląski gotuje nowy zamach na szkolnictwo polskie, bowiem większość niemiecka sejmowa zamierza wprowadzić nową ustawę szkolną. Ustawa ta ma odebrać gminom prawo układania terna przy mianowaniu nauczycieli stałych i przyznać Wydziałowi krajowemu prawo mianowania nauczycieli wbrew woli i życzeniom gminy, a nadto przyznać Radzie szkolnej krajowej prawo utrakwizowania szkół polskich i czeskich według własnego uznania po wysłuchaniu opinii zastępstwa gminnego.

W razie ulegalizowania powyższego gwałtu straciliby Polacy w Cieszyńskiem i tę odrobinę praw, którą dotychczas jeszcze posiadają. Na gminach polskich ciążyłby tak jak dotąd ciężar utrzymania szkolnictwa ludowego, ale prawa gminne, wynikające z tego tytułu, przeszłyby w zupełności na Wydział krajowy i Radę szkolną krajową. A ponieważ Wydział krajowy i Rada szkolna krajowa są prawie wyłącznie niemieckie, przedstawiciele zaś ludności naszej nie mają tam żadnego wpływu, więc niemczonoby bezkarnie nasze szkoły.

Listy do Redakcyi należy adresować — Floryańska l. 14 m. 21.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca *Jan Kocuj.*

Numer następny ukaże się w końcu marca 1912 r.

Cena tego numeru:

w Galicyi . . . . 30 halerzy,
w W. Ks. Poznańskiem . 30 fenigów,
w Król. Polskiem i ziemiach zabranych
15 kopiejek.

Krakowska Drukarnia Nakładowa, Spółka z ogr. odp. w Krakowie (dawniej W. Kornecki)
pod zarządem Adolfa Nowaka.